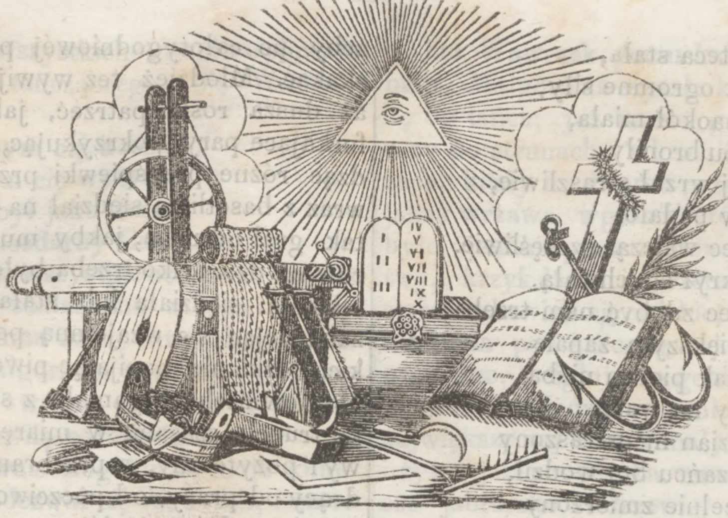
RÓK DRUGI.

№ 33.

Warszawa

Dnia 4 (16) Sierpnia 1857.

Niedziela 10 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Kto sobie samemu coś dobrego przyznaje, ten sam przeszkadza przyjściu łaski Boskiéj, bo łaska Ducha Śgo szuka zawsze pokornego serca. Ucz się dla Stwórcy zwyciężać siebie we wszystkiem, wtedy zdołasz dosięgnąć poznania Boga. (O nasl. Chr. Ks. 3 Roz. 42).

Cudowny Medalik.

Gdy Jan Kazimierz krajem tu władał,
Rozliczne klęski w nim były,
Bo aż z stron pięciu wróg nań napadał,
Wewnątrz niezgody niszczyły.
Kto mógł już uczuć, w jakiéj kraj męce,
Błagał pomocy u Boga,
I jaką broń mógł podźwignąć w ręce,
Spieszył i gromił nią wroga.
Z owego czasu treść téj powieści,
W niéj jest prawdziwe zdarzenie,
Jak wszechmoc Boska wpośród boleści
Cudowne zsyła zbawienie.
Już wieść za wieścią po kraju goni:
Kto kocha Boga niech dąży,
Kto kraj miłuje, niechaj go broni,
Nim go wróg zewsząd okrąży.
Słysząc te wieści staruszka wdowa
Z żalu o syna łzy leje:
—Któż resztę mego życia dochowa,
Kto ziści moje nadzieje?
Lecz darmo, darmo będę płakała,
Chociaż jednego mam syna,
Czyliż go będę w domu trzymała,
Gdy jest w nieszczęściu kraina?
Bądź zdrów mój synu! patrz, jak pożogi
Kraj nasz oblały dokoła,
Idź bronić króla, idź gromić wrogi!
Tam cię ojczyzny głos woła.
Szczupły węzełek weź na wydatki
I tę pamiątkę wsławioną
Cudami Boskiéj Najświętszéj Matki,
Która ci będzie obroną.
Ta niech ci będzie tarczą wytrwałą,
Co żadna broń jéj nie skruszy,
Niech ci się stanie nadzieją całą,
Świętem zbawieniem dla duszy.
Tak żegna syna, medal na szyi
Wiesza mu srebrny, maleńki,
Na którym postać Boskiéj Maryi
W tęczowe lśniła sukienki.
Poszedł młodzieniec w wojska szeregi,
Tam różnych losów doznaje,
Poszedł daleko, nad morza brzegi
I w obce dostał się kraje.

Raz się zdarzyło: forteca stała,
A w niéj wojsk ogromne siły,
I aż sześć szańców naokół miała,
Co jéj przystępu broniły.
Pięć już zdobyto, bój wrzał straszliwie,
Tysiące wrogów padało,
Lecz nasz młodzieniec walcząc szczęśliwie,
Świeżą znów okrył się chwałą.
—Ten jeszcze szaniec zdobyć nam trzeba,
Rzekł i w największym zapale
Rzuca się naprzód, jak piorun nieba
I staje pierwszy na wale.
Lecz gdy nasz młodzian nieustraszony
W zdobytym szańcu bój wodził,
Strzał przeciwnika celnie zmierzony
W same go piersi ugodził.
Upada rycerz wśród braci żalu,
Ucierpi chwilę na zdrowiu,
Ale żyć będzie, bo na medalu
Oparł się pocisk z ołowiu.
A kiedy mundur na nim rozpięto,
Wokoło koledzy stali,
Ujrzeli blaszkę od kuli zgiętą,
Na niéj te słowa czytali:
O! patronko wiernych święta
Marjo, bez grzechu poczęta,
Prosimy ciebie ze łzami,
Módl się do Boga za nami.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

IV.

— Zkądże dziadku Bóg prowadzi?
Ponoś obcy w naszéj stronie?
— Nie, nie obcy, gdyście radzi;
Dziad tam w domu, gdzie stos płonie.

Jeżeli na wsi wiosna ustrojona świeżutką zielenią i różnobarwnem kwieciem, niby nadobna śliczniutka dzieweczka, najprzyjemniej polami, lasami i wioskami uśmiecha się do rolnika, za to jesień chwali się przed nim stodołkami pełnemi zboża, kopkami wonnego siana i potrawu, i zapasami domowéj spiżarni z pola i z ogrodu zebranemi.

W taką to jesień obfitą w dary Boże, we wsi Motkowicach położonéj w Sandomierskiéj ziemi, w dzień niedzielny, w karczmie zebrała się gromadka miejscowéj ludności, a że grał w niéj sławny na całą okolicę skrzypek Urban, zbiegła się także do karczmy i młodzież, żeby po całotygodniowéj pracy, pohulać i poskakać. Młodzież też wywijała, że aż miło, że aż dusza rosła patrzeć, jak migały w oczach furkające pary, pokrzykując, potupując i wywodząc różne przyśpiewki przed grajkiem, który wraz z basetlistą siedział na stole pod oknem i tak grał od ucha, jakby mu i skrzypków i palców na dziś tylko trzeba było. Na boku popod ścianami siedziała lub stała starszyzna wioski, zabawiając się wzajemną pogawędką i z wysokich szklanic popijając piwo, które pomału w Motkowicach wyganiało z szynku gorzałkę, jako trunek czasami w miarę użyty arcy zdrowy i pożyteczny, a przebrany w miarze odwodzący od pracy, od poczciwości, niszczący zdrowie, i prędzéj później sprowadzający pijaka do nędzy i ruiny.

— Kumo, odezwał się jeden ze starszyzny wioskowéj, ochoczo przytupując i podsuwając się do kilku kobiet stojących na uboczu—kumo, kiedy te młode dziargany tak się cieszą i zawodzą tańcem nikiej za najem, puśćmy się i my, i pokażmy tym młokosom, co umiemy. Ostro kumeczko, hu ha!

— Dalibyście kumie pokój tańcowaniu, odrzekła zaczepiona kobieta z uśmiechem, niby bocząc się i sromając; jeszczeby też tego brakowało, żeby siwe głowy miały szaleć z młodemi.

— Albo to grzech? albo to poczciwą uciechą człek nie chwali Pana Boga?

— No jużcić grzechu w tem nie ma, ale równie kumie śmiesznie to i jakoś nijako.

— Ej! co tam, odrzekł rozochocony chłopek, i tak się dzielnie zawinął, że zanim się kobiecisko spostrzegło, kum kumę ujął wpół, tupnął nogą, i stanąwszy przed skrzypkiem, zaśpiewał:

Pamiętasz kumeczko,
Jakeś mnie kochała?
Jednak mnie nie wzięłaś,
Tylkoś się skumała.
Hu! ha!

Całe zgromadzenie zawrzało serdecznym śmiechem, powtórzyli wszyscy *hu! ha*, a wesoły chłopek Wawrzek Cierpień pokrzyknął:

—Ostro chłopcy! i puścił się młynkiem za drugimi. Tanecznica jego, poczciwa Małgorzata z początku troszkę się zawstydziła, bo pokraśniała cała niby dziewucha, choć od lat dwunastu zdjęła wianek z głowy, ale wnet jakoś zmiarkowała się, i gdy dokoła raz i drugi obtańczono, ona znowu zatrzymała się przed grajkiem

i wpośród ogólnéj wszystkich uwagi zaśpiewała, zwracając słowa do tańczącego z nią Wawrzka Cierpienia:

Gdybym cię kochała,
Tobym cię wybrała,
Aleś był jako pień,
Boś niezdarny Cierpień.

Na taką śpiewkę, wszystkie usta zawrzały hucznym śmiechem, zaklaskano w ręce, zakrzyczano, izba karczemna aż się zatrzęsła od wrzawy i hałasu, a Małgorzata zgrabnie wywinąwszy się z rąk Wawrzka, pobiegła do kobiet, z któremi przed chwilą rozmawiała.

— A niechże was Bóg kocha moja kumo, obcierając czoło, odezwał się Wawrzek, i zmordowałem się, i jeszczeście mnie tak publicznie sposponowali.

— A pocoście o dawności przypominali? odrzekła żartobliwie Małgorzata; żeby mój usłyszał, toby z tego mogła była wypaść jaka termedya, i ot! byłaby bieda.

— Moja kumo, dawność nic nie wadzi...

— Hola! hola! a tam co o dawności rozprawiata? przerwał Mateusz, mąż Małgorzaty, niby udając zagniewanie, czy zabaczyliście, co to ludzie mowią, i to rzekłszy, zaśpiewał:

Dawność u kobiety
Na zawdy zginęła,
Jak już przy ołtarzu,
Męża se pojęła.

— Prawda, prawda, odezwało się kilka głosów, łącząc się w żarcie przeciw Wawrzkowi; pokpiliście sprawę mój Wawrzyńcze, bo nie wypada bałamucić ludzi. A wam widać na ochocie do tego nie zbywa.

Naciśnięty tak ze wszystkich stron Wawrzek wykręcał się jak mógł, odcinał słowami, i wreszcie widząc, że nie może stanąć górą nad drugimi, że on jeden, a naprzeciw niego chmara ludzi, zawołał głośno:

— Hola chłopcy! wiela złego na jednego, ale żeby wam pokazać, że we mnie nie ma niezdarności, choć mi o tem Małgorzata z przytyczką zaśpiewali, chodźcie kumo w taniec, a zobaczycie, jak wam zaśpiewam, to aż w górę podskoczycie.

— Idźcie, idźcie Małgorzato, odezwano się dokoła, idźcie moi kochani.

— Jużcić idź Małgoś, odezwał się mąż jéj, kiedy cię kum tak grzecznie prosi, to i nie wypada gardzić ludzką prośbą. Idź Małgoś, idź.

Już Wawrzek pomuskał czupryny, poprawił pasa, Małgorzata wyszła ku niemu, podając rękę do tańca; już nawet grajek brzdąknął parę razy po strunach, a basetlista zahuczał na basach, kiedy na dworze przed karczmą powstała jakaś wrzawa, wpośród któréj wyraźnie słychać było ujadanie psa rozgniewanego, śmiechy dziatwy, krzyk boleści i przerażenia. Kiedy bowiem starsi zabawiali się w izbie, młoda dziatwa zgromadzona pod karczmą także czasu nie trawiła naprożno, i figlując a goniąc się, bawiła się jak mogła. Pomiędzy tem młodem wsi pokoleniem największy rej wodził mały Janek, chłopak zuch i żywy jak przepiórka, rumiany jak najpiękniejsze jabłuszko na drzewie, ale przytem psotnik, figlarz i zbytnik, jakiego świat i Korona polska drugiego nie miała. Porwać co, zepsuć, dokuczyć komu, wyśmiać, to u niego było chlebem powszednim; kiedy ludzi brakło, nie przepuszczał i zwierzętom, a psy i koty tak go się w całéj wsi bały, że jak tylko go dostrzegły, uciekały ze skomleniem jak oparzone.

Otóż kiedy dzieciaki bawią się i figlują, z wąwozu do saméj wsi prowadzącego wyszedł jakiś biedny starzec, kierując się prosto ku karczmie. Ubrany był w zwykłéj kamizieli Sandomierskiéj; wąsy i faworyty miał siwe, całą postać przygarbioną, nogę w szczudle, i widać, że mu trudno i ciężko było się puruszać, bo się co krok podpierał laską, posuwając się nader wolno i chwiejąco. Jak go tylko gromadka dzieci dojrzała, zaraz wszyscy z uwagą zaczęli mu się przypatrywać, a Janek, który w każdym razie, zawsze i wszędzie myślał tylko o nowym figlu, przypatrzywszy się baczniéj od drugich, odezwał się do swych towarzyszy, których główki płowemi włosami bieliły się, jak makówki zbite w jednę kupkę.

— Jakiś dziad idzie po prośbie, ale widać że napiły, bo patrzcie, jak się chwieje. Ach! żeby się też przewrócił.

— Słuchajcie, dodał po chwili, nie puśćmy go popod ścianą, tylko po cegłach niech idzie przez kałużę, to zobaczycie, że przewróci się w wodę i wnet otrzeźwieje.

Droga, którą szedł podróżny, skręcając się ku karczmie, tak przechodziła między zabudowaniami, że chcąc dostać się do sieni, trzeba było koniecznie przejść albo ścieszką przy saméj ścianie karczemnéj, albo też przez kałużę, środkiem któréj ułożono kamienie i cegły dla przechodzących. Ścieszkę rzędem zajęła dziatwa, a

Janek dla pewniejszego wzbronienia przejścia przez nią, przywołał dużego psa Kruczka, jedynego w całéj wsi, z którym żył w zgodzie, bo się bał jego ogromnych zębów i potężnego wzrostu, i niby bawiąc się z jego uszami, pocichutku nadszczuwał, mówiąc nieznacznie: huzia! Kruczek, huzia starego, nie daj Kruczek. Pies warczał przytłumionym głosem, szczerzył z groźbą zęby, szerść najeżała się na łbie i szyi, oczy błyszczały zapalczywością, słowem tak przybrał groźną i przestraszającą postawę, że podróżny starzec zobaczywszy to, przystanął chwilkę, spojrzał po psie, potem po wodzie, i nie namyślając się dłużéj, ruszył samym środkiem kałuży, choć ostrożnie ale z widocznie wielką trudnością wybierając te cegły, które pewniéj i bezpieczniéj leżały w wodzie. Za każdem zachwianiem się starca Janek zaraz pierwszy wybuchał głośnym śmiechem, a za nim szła reszta dzieci, klaszcząc w ręce i wołając:

— Przewróci się, przewróci!

Kiedy starzec doszedł do samego środka kałuży, i zniecierpliwiony śmiechami dzieci przystanął, oraz przemówił do nich łagodnie, łając jednak jak na to zasłużyły, Janek widząc, że go zabawa z przewrotu starca w wodę ominie, a pragnąc choć przestrachem jego i siebie i towarzyszy zabawić, lepiéj psa nadszczuł i puszczając, popchnął go przed siebie. Pies naturalnie szybko poskoczył, a zatrzymując się tuż przy saméj kałuży, tak przeraźliwie i z taką złością zaczął naszczekiwać, że starzec nagle z przerażeniem obejrzał się, a w pośpiechu podniosłszy kij w górę, drewnianą nogą chybił cegły, i zapadając nią głęboko w błoto znajdujące się na dnie kałuży, upadł w znak w wodę, chowając się w nią prawie całą głową. Janek zaklaskał w ręce i rozśmiał się na całe gardło, za nim poszli inni, ale niektórzy krzyknęli z przerażeniem, patrząc, jak biedny kaleka grzebie się w wodzie i nadaremnie usiłuje powstać.

Wtenczas to zabawa wrzawą przedkarczemną przerwaną została w izbie, a gdy jedni wyglądali oknem, chcąc dowiedzieć się, co ona znaczy, inni wybiegli na podwórze i udzielili pomoc biednemu starcowi, wprowadzając następnie do izby, aby go obetrząc z błota i wysuszyć z przemoknięcia. Poczciwy Ludowina krzątał się jak mógł; bo patrząc na kalectwo starca, na jego osłabioną i wynędzniałą postać, w każdym człowieku musiała powstać litość, choćby zamiast serca, kamień się w nim znajdował. Kiedy starzec opowiedział powód swego upadku, że dziatwa się z niego śmiała, a między nią szczególniéj dowodził jakiś mały, jasnowłosy chłopczyk, trzymając za uszy dużego psa czarnego, który późniéj nadszczuty i puszczony rozmyślnie, najgłówniejszym był powodem nader przykrego w kałużę wywrotu, ojcowie i matki strasznie się tem oburzyli, prawie jednomyślnie powybiegali z karczmy i w parę minut każde swego dziecka ciągnąc za kark, za uszy, stawiali przed starcem, rozkazując z fukiem i groźbą przeprosić biednego podróżnego i upaść mu do nóg. I gromadka małych winowajców z piskiem, z płaczem otoczyła starca, całowała po rękach, po nogach, przepraszając, przyrzekając poprawę, a starzec ze łzami w oczach przyciskał każdego główkę do piersi, całował, głaskał po włosach, po buziakach, i kiedy się wrzawa cokolwiek uspokoiła, odezwał się:

— No już dziateczki nie płaczcie, a kiedy widzę, że żałujecie, to się już nawet na was nie gniewam, tylko mi przyrzeczcie, że starych ludzi będziecie szanować, i że im nigdy w życiu swem żadnéj nie zrobicie przykrości.

— O! przyrzekamy, przyrzekamy, hurmem wrzasnęła dziatwa, a ujęta dobrocią starca znowu otoczyła go dokoła, całując po rękach, nogach i kolanach.

— Z tobą mały łotrze, odezwał się ojciec do owego małego Janka, najpierwszego przywódzcy we wsi do psot i figlów, w domu się rozprawimy, bo co nadto, to nadto.

— O! mój serdeczny tatusiu, wrzasnął wielkim głosem Janek, już nigdy takim nie będę, przebaczcie mi, przebaczcie mój tatusiu, mój serdeczny tatusiu.

— Cicho zbereżniku, tupiąc nogą, odezwał się ojciec, a starzec ujmując go za rękę i przyciągając Janka ku sobie, rzekł:

— Już mu darujcie mój gospodarzu, proszę was, zróbcie to dla mnie, a zamiast kary, coście mu obiecywali, pozwólcie mu posłuchać małego z lat moich zdarzenia, które go najlepiéj przekona, jak Pan Bóg za nieposzanowanie starszych, prędzéj czy późniéj, zawsze na ludzi zsyła karę.

— No, to cicho dzieci, słuchajcie.

— Cicho, cicho, powtórzyły liczne głosy, i kiedy wszyscy mając dziatwę na czele, otoczyli

starego kalekę dokoła, on pomyślawszy troszkę, tak zaczął mówić:

— We wsi, w któréj się urodziłem, taki sam był mały Janek, jak ty moje dziecko. Choć go rodzice naganiali do pomocy w gospodarstwie, on jednak nie myślał o tem, żeby się uczyć pracy i być starym swym rodzicom użytecznym, tylko żeby jak najprędzéj uciec z domu, i po wsi całéj bonować. W takich to swoich wyprawach nie przepuszczał niczemu; strąki rwał w grochu, kryjąc się w najgęstsze miejsca, że by go ludzie nie dopatrzyli, z drzewa zrywał zielone i jeszcze niedojrzałe owoce, wybierał rzepę w polu, z gniazd wyciągał ptaszyny, i choć biedne pisklęta piszczały przeraźliwym głosem, a matki ich żałośnie się odzywały, on jednak na to nie zważał, ukręcał biedaczkom główki, albo je dawał do pożarcia kotom. Jak zobaczył na stawie kaczki, gęsi pływające spokojnie, albo gdzie na śmietniku grzebiące kury, rzucał na nie kamieniami, ciesząc się, gdy które trafił, a gdy drób uderzony silnie, przewracał się zabity, on chyłkiem popod płotami, między konopiami uciekał do domu. Często wprawdzie udało mu się ujść ludzkiego oka, ale bywały wypadki, gdzie go wypatrzono, i przez to tak się osławił, że potem każdą szkodę we wsi zdarzoną na niego składano, i tak go znienawidzono, iż wszyscy gospodarze i gospodynie patrzyli na niego jak na wilka, łając, złorzecząc, ile razy tylko któremu wszedł w drogę. Janek żywy jak ogień, nie pomyślawszy o tem, że tylko za złość jego ludzie mu płacą nieprzychylnością, rozpuścił się jeszcze bardziéj, i choć o psotach nie zapomniał, zaczął pomału dokuczać ludziom, a najbardziéj starszym ze wsi, bo wiedział, że ma młode nogi, i że dlatego oni go swemi staremi, a więc spracowanemi nie dogonią.

Pomiędzy wszystkiemi najbardziéj nienawidził starego we wsi żołnierza, co nachodziwszy się dosyć po świecie z karabinem w ręku, natyrawszy się między ludźmi, zmarnowawszy młode lata, siły i zdrowie, wrócił do swojéj ojczystéj wioski bez nogi, z wielką kresą przez twarz całą, i tak jak ja chodził na szczudle. Stary ten wiarus niezdatny do pracy utrzymywał się z plecenia i przedaży koszyków, do których witki i pręciki zbierał wszędzie po krzakach, i dlatego bardzo często spotykał się z Jankiem, oraz był świadkiem jego psot i niegodziwości. Stary żołnierz wszystko to znosił cierpliwie, ale kręcił wąsa i mruczał z gniewem pod nosem, i raz tak mu się szczęśliwie udało, że wracając z pękiem pręcików do wsi, zdaleka dostrzegł wysuwającą się z za płotu głowę Janka, i pilnie wpatrującą się w drogę, którą on powracał. Ponieważ stary żołnierz, co się nazywał Walenty, był jeszcze między krzakami, Janek więc nie mógł go odrazu dojrzeć, i dlatego kręcąc głową i w tę i w ową stronę, dostrzeżony został przez Walentego, który spodziewając się jakiejś napaści, postanowił mieć się na baczeniu. Nic jednak nie dając po sobie poznać, że wie o zasadzce, szedł jak zwykle tą samą ścieszką, potem przez płot przerzucił pręciki, przeszedł na drugą stronę płotu, i gdy je znowu na plecy zarzucił, uglądając pilnie, a jednak nieznacznie, dopatrzył Janka siedzącego za dużym krzakiem ostu. Chłopakowi tylko się oczy świeciły; przygarbiony siedział w kuczki, i jak Walenty go minął, on cichaczem na palcach zaczął się ku niemu zbliżać, i kiedy już rękę wyciągał, żeby pęk pręcików zrzucić z pleców wojakowi, i rozsypać je po ziemi, Walenty nagle się obrócił i uchwycił chłopca za rękę.

—Ha! jesteś łotrze zbereźniku, zawołał z gniewem starzec, teraz cię na frycówkę zaprowadzę do ojca, bo ja na cudze dziecko ręki swéj nie podniosę. Chodź ty niegodziwy smarkaczu, bo pamiętaj, że za to, iż starszych nie szanujesz, to albo skończysz na szubienicy, albo cię pierwsza kula nie minie, jeżeli cię kiedy wezmą do wojska.

Janek wił się jak wąż w silnem ręku wojaka, ale zamiast prosić się grzecznie, przepraszać i być jak wypada z uszanowaniem, wołał: puszczaj ty stary! czego mnie dusisz? czy to mnie niewolno iść za tobą? Puszczaj zaraz, co ja ci winien?

I przy tych brutalskich słowach nagle kopnął nogą w szczudło; starzec cokolwiek ku niemu nachylony, stracił równowagę, padł na ziemię i tak nieszczęśliwie, że samem czołem trafił o kamień. Janek uciekając, obejrzał się; kaleka leżał na ziemi nieporuszony.

— To on się zabił, pomyślał chłopak, zatrzymując się i czując, jak mu pot zimny okrył czoło, mrówki przeszły po całem ciele, a włosy stanęły dębem. W pierwszéj chwili chciał co sił uciekać, ale mimowoli zatrzymał się, i po chwilce już był przy leżącym na ziemi Walentym. Stary żołnierz leżał wznak wyciągnięty, z głowy krew się broczyła i najmniejszego nie dawał znaku, że żyje.

— Zabił się, zawołał z przerażeniem Janek, zasłaniając twarz rękoma, o ja nieszczęśliwy! ratujcie ludzie, ratujcie! Walenty! odezwijcie się! ludzie, wody, wody, pomocy!

Krzyk ten pełen boleści i rozpaczy nie rozcucił jednak Walentego. Janek dotknął się ręki; była jak lód zimna, poruszył starca, szarpiąc go za kamizelę, ale ten nie wydał najlżejszego nawet westchnienia—z krzykiem więc i przestrachem zaczął biegać dokoła, i za każdą razą co rzucił okiem na rozciągnięte na ziemi ciało i zobaczył krew broczącą się z głowy, tyle razy zadrżał, aż w końcu rzucił się na ziemię i tarzając się po niéj, rwał włosy na głowie, powtarzając ciągle głosem pełnym rozpaczy:

— Zabiłem, zabiłem! niewinnego człowieka. O! Boże, Boże! ratuj mnie, ratuj! Ja zabójca, ja zabójca, o! Boże!...

Na szczęście Janka moje dzieci, nadbiegli ludzie, i po długich staraniach przecieć pomału dotrzeźwili się Walentego. Kiedy starzec trzeźwiony wodą, przyszedł do przytomności, i otworzywszy oczy, zobaczył tylu ludzi, a siebie całego wodą oblanego, sięgając ręką ku owiązanéj głowie, zapytał zdziwiony:

— Co to jest? co to się ma znaczyć?

— To ja was o mało co nie zabiłem, zawołał Janek, padając przed starcem na kolana, przebaczcie, przebaczcie...

— Prawda, prawda, coś sobie przypominam, odrzekł starzec osłabionym głosem, podpierając głowę na ręku; ja wracałem z krzaków, a ty... niepoczciwy prześladowco!... weźcie go odemnie... weźcie, bo umrę, patrząc na niego. I to wyrzekłszy Walenty, zachwiał się, zbladł jak ściana, i zamykając oczy, bezwładnie upadł na łóżko.

—Nie będę was, moje dzieci, nudził długiem opowiadaniem, po chwili przestanku odezwał się opowiadający, widząc, że go dziatwa słucha z wielkiem zajęciem, i prawie nie śmiejąc odetchnąć; powiem wam więc w krótkości, że Bogu dzięki Walenty wyleczył się z tego wypadku, tylko mu już potem na całe życie znak od rany pozostał na czole, a Janek od téj chwili zmienił się do niepoznania: zesmutniał, spokorniał, pilnował domu i pracy, i tak to całe wydarzenie silnie utkwiło mu w pamięci, że gdzie spojrzał, to zdało mu się, iż widzi czoło Walentego zranione, jego bez życia leżącego na ziemi, tak dalece, że często zrywał się w nocy, wołając przez sen: zabiłem, zabiłem, ludzie ratujcie!

I tak schodziły lata, i ludzie i Walenty zapomnieli prawie o tym wypadku, Janek zupełnie się odmienił, wyrósł na porządnego i do tego uczciwego chłopaka, ale jednak nie mógł z pamięci swéj wygładzić myśli, że omało nie stał się przyczyną śmierci swego bliźniego, że to stało się skutkiem nieuszanowania starszego od siebie człowieka, i że wreszcie odebrał jakby przepowiednią i przekleństwo razem, iż go czeka albo szubienica, albo pierwsza kula w polu.

— Jakże, i sprawdziło się? zapytało kilku ze słuchaczów.

— Sprawdziło się moje dzieci, odrzekł starzec z boleśnem rozrzewnieniem, bo Bóg jak nigdy dobrego bez nagrody nie zostawia, tak znów złe zawsze karze, czego Janek najlepszym jest dowodem. Kiedy bowiem wyrastał na coraz lepszego chłopaka, i już zaczynał myśleć i o gospodarstwie i o żonie, nagle wypadło mu iść do wojska. Pożegnawszy się ze wszystkimi, poszedł także i do starego Walentego; kaleka spał na łóżku, i zupełnie w takiéj pozycyi, jak wtedy, kiedy go Janek omało nie zabił. Znamie na czole od rany czerwieniło się, bo było przykryte delikatną skóreczką, a starzec tak spał smacznie, że zdawało się, iż nie oddycha. Jak Janek na niegó spojrzał, natychmiast całe wydarzenie przyszło mu do głowy, i stanęło w myśli tak żywo, tak wyraźnie, że był pewny, iż Walenty nie żyje, że rana nowo otworzyła się mu na czole i sączy krew z siebie, wzywając zemsty i kary na sprawcę tego wszystkiego. I znowu mu włosy dębem stanęły, pot zimny oblał czoło, mrowie przeszło po skórze, i Janek mimowolnie wybiegł szybko z chałupy, i tak uciekał, oglądając się poza siebie, jakby się spodziewał pewnéj pogoni.

W kilka miesięcy Janek w mundurze z karabinem w ręku już jako żołnierz maszerował w jednym z innymi szeregu, i w pierwszéj zaraz potyczce, prawie pierwsza kula, co przyszła z nieprzyjacielskich kolumn...

Przy tych słowach starzec nagle przestał mówić, i zwiesiwszy smutnie głowę, zadumał się.

— No i cóż, zabiła go? zapytano dokoła, widząc, że starzec nie myśli już skończyć swego opowiadania.

— Lepiéj żeby była zabiła, z goryczą odrzekł kaleka, ale nie, nie zabiła.

— Więc cóż się z nim stało? zapytano znowu.

— Co się z nim stało? odrzekł powstając starzec, drżącym rozrzewnionym głosem; oto moi ludzie! urwała mu nogę, ot tę, co widzicie, żeby był podobny do tego kaleki, którego najwięcéj prześladował; wzięła mu trzy palce u prawéj ręki, ot jak widzicie, i to rzekłszy, wyciągnął rękę, żeby ją ukarać za to, że się ośmieliła podnieść na starego człowieka, i wreszcie zrobiła go pośmiewiskiem małych dzieciaków, które tak nie miały nad nim dziś litości, jak on nie miał niegdyś nad starymi ludźmi...

— Jakto, to wy jesteście ten Janek, o którym nam opowiadaliście?

— Tak jest, ten sam, i już lat dziesięć wałęsam się po świecie, na szczudle, bez palców, bez możności zarobkowania, popychany i szturchany, jak ja niegdyś popychałem i szturchałem tych, dla których powinienem być z miłością i z uszanowaniem. Dlatego dziateczki bierzcie ze mnie przykład, starszych jak ojców szanujcie, i siwa głowa niech wam będzie jak świętość jaka; bo jaką miarką mierzysz, taką ci będzie odmierzone, a Bóg choć cierpliwy, ale sprawiedliwy.

Kiedy biednego starego wojaka nakarmiono, napojono, obdarzono jałmużną i wszyscy zaczęli się do domów rozchodzić, Janek powracał także z ojcem do domu i ciągle z nim rozprawiał:

— Tatusiu, mówił Janek, drepcząc kłusem na bosaka przy ojcu—ten dziaduś choć straszny na pierwsze wejrzenie, ale równie przyjemnie mu z oczu patrzy.

—Chcesz być takim jak on?

— O! nie, niech mnie Bóg broni.

— No, to pamiętaj kochać wszystkich ludzi, dla starszych szczególniej być z uszanowaniem, bać się Boga, o psich figlach zabaczyć, i nikomu a nikomu nie dokuczać. Rozumiesz chłopcze?

— Rozumiem mój tatusiu; ale równie, mówił cokolwiek nieśmiało Janek, drapiąc się w głowę, naszemu pachciarzowi Szmulowi to można czasem co spsocić, przecieć to żyd tatusiu!..

— Nikomu, rozumiesz? nawet biednemu robakowi przykrości nie powinieneś robić, a tém bardziéj człowiekowi.

— Aha, potwierdził Janek, no to dobrze mój tatusiu, i w milczeniu szedł daléj przy ojcu.

Wybuchy ogniowe, czyli Wulkany.

Zjawiska wulkaniczne mają związek z trzęsieniami ziemi i są ich ostatecznemi skutkami; bo jeżeli w czasie wielkich wstrząśnień i podniesień skorupa ziemi zostanie przełamaną, wówczas między wnętrzem ziemi a jéj powierzchnią robią się mniejsze lub większe szpary, a czasem obszerne otwory, przez które wychodzą różnego rodzaju wyziewy gazowe, wody ciepłe lub zimne, czyste lub siarczane, niekiedy pomieszane z błotem. Lecz częstokroć przez tak podniesioną i pękniętą ziemię powstają z łoskotem wybuchy, które resztki zgruchotanéj ziemi wyrzucają do wielkiéj odległości; a najczęściéj przytem z otworów takich wyrzucane są różne ciała rozpalone i w żuzle zmienione, tudzież ciała pumeksowe, to jest wzdęte i gąbczasto-dziurkowate; albo wreszcie ciała zupełnie stopione, które albo są wyrzucane do znacznéj odległości, albo też spływają po pochyłości ścian, lub nagromadzają się w miejscu samego otworu do wysokości znacznéj.

Wielkie otwory, czyli kanały między wnętrzem ziemi a jéj powierzchnią utworzone, zowią się *Wulkanami*; otwór na samym wierzchu ziemi zowie się *Kraterem* albo *paszczą wulkanu*; ciała drobne, proszkowate, wyrzucane otworami zowią się *popiołami wulkanicznemi*; wreszcie massa stopiona, wrząca, która albo tylko krater wulkanu wypełnia, albo przelewa się wierzchem i spływa po bokach góry, zowie się *lawą wulkaniczną*.

Niektóre wulkany są ciągle czynne; takim jest na wyspie Stromboli przy Sycylii. Krater ten jest zawsze napełniony lawą stopioną, zniżającą się i podnoszącą, która wzniósłszy się do 30 stóp od brzegów krateru, wzdyma się, pokrywa wielkiemi pęcherzami; te wkrótce pękają, wydając z siebie wielką ilość gazu, i rozrzucając na wszystkie strony ciała żuzlowate. Niekiedy zamiast lawy znajdujemy na dnie kraterów wrzącą siarkę np. w kraterze *Wulkanu* przy Sycylii.

Największa liczba wulkanów nieciągle wybucha; wiele jest takich, które długo zostają nieczynnemi, a są i takie, które od niepamiętnych czasów ani lawy, ani płomieni nie wydają, i zdaje się jakby zupełnie wygasły. Wiele jest kraterów, które oddawna nie wydają lawy, lecz wyrzucają z różnych szpar ziemi gaz siarkowy, duszący, zmieszany z parą wodną; takie kratery zowią *siarkowicami* (solfatara); najważniejsza taka siarkowica jest w królestwie Neapolitańskiem, w okolicy miasta Puzzola.

Wybuchy podwodne czyli *podmorskie.* Zjawiska wulkaniczne nietylko zdarzają się na lądach, lecz i pod wodami morskiemi; w takich razach wody morskie wyrzucają ciała rozpalone, żużle i pumeksy, które po wodach pływają; sama woda morska znacznie się rozgrzewa i prawie jest wrzącą; wreszcie nad powierzchnią morza występują mniejsze lub większe wysepki, już ciągle trwające, już też po pewnym czasie znowu w otchłaniach morskich ginące. Tym sposobem powstała w r. 1831 wyspa Julia między Sycylią i Włochami; wyspa Bogusław r. 1814 w Archipelagu Aleuckim, i kilka wysepek między wyspami Azorskiemi. Podobne zjawiska ukazywały się różnemi czasy wokoło Inslandyi.

Wnętrze paszczy wulkanicznych. Kratery wulkanów są często zwiedzane przez podróżnych, lubo zawodzą ich oczekiwanie, nie przedstawiają nic ciekawego. Po wielkich wybuchach, w czasie których niepodobna było zbliżyć się do otworów, paszcze okazują się jako ostrokręgi wierzchołkiem na dół obrócone, u góry zaś mniej lub więcéj szerokie; dno tych ostrokręgów przykryte jest lawą stwardniałą; ze szpar ziemi wywięzują się pary siarkowe; niekiedy widzieć można kilka otworów, napełnionych wydobywającą się parą, przez którą wszakże można widzieć stopioną lawę; czasem znowu paszcze są głuche, ciemne, strachem przejmujące; ciekawi podróżni, schodzą często do pewnych głębokości, lecz niczego się tam nie nauczą.

Często znaczne przerwy między wybuchami zacierają w kraterach ślady wulkaniczne, i zdarza się, że na ścianach kraterów najpiękniejsze porastają rośliny; w ten sposób opisują nam Wezuwiusz przed wybuchem w r. 1631.

Liczba Wulkanów. Wielka jest liczba wulkanów dziś jeszcze czynnych, w różnych miejscach ziemi. Islandya położona na północ Europy na Oceanie Atlantyckim, jest głównem miejscem działań ogniowych; cała wyspa jest wypadkiem wulkanu, a głównym otworem jego działań jest *Hekla.*—*Etna* w Sycylii i *Stromboli* są znane od najdawniejszych czasów, a *Wezuwiusz*, w takim stanie, jak się dziś okazuje, rozpoczął swą działalność r. 79 po Narodz. Chr. pamiętnym wybuchem popiołów wulkanicznych, które przysypały sąsiednie miasta Herkulanum i Pompeję. W r. 1819 wulkany Hiszpańskie w prowincyi Murcyi zaczęły nanowo wybuchać. Wyspy Azorskie, Kanaryjskie i Przylądka Zielonego doświadczały w różnych czasach wybuchów. Mnóstwo jest wulkanów na wyspach Oceanu Indyjskiego i Spokojnego, a szczególniéj na wyspach Sondzkich, Filipińskich, Japońskich, Kurylskich, Kamczatce i w jéj okolicy. Środek Azyi, o którym sądzono dawniej, że niema czynnych wulkanów, bo rozumiano, że te tylko w bliskości morza mogą się znajdować, właśnie przeciwnie napełniony jest wulkanami najwyższemi i najważniejszemi. Ameryka, począwszy od Ziemi Ognistéj do cieśniny Berynga odzielającéj ją od Azyi, jest także pokryta mnóstwem wulkanow.

Przysłowia.

1. Szanuj góry, mosty, cheszli mieć grzbiet prosty.
2. Częste miejsca odmienianie, traci ludzkie zachowanie.
3. Dał ci Bóg dary, zażywaj miary.
4. Dla rzeczy podlejszéj, nie opuszczaj godniejszéj.
5. Obrazę długo pomnimy, a dobrodziejstw zapominamy.
6. Długo się namyślaj, a spieszno wykonaj.
7. Długo żyje, kto dobrze żyje.
8. —Pójdź robić.
   O! nie mogę chodzić;
   —Pójdźże jeść.
   Toć muszę leźć.
9. Dobrym być, albo dobrze czynić, lepiéj późno, niż nigdy.
10. Dobremu rzemieślnikowi, każde naczynie dobre.
11. Dobrocią złego pokonasz.
12. Dobrze czynić począwszy, nie przestaj.
13. Dwa kroć daje, kto rychło, a trzykroć, kto ochotnie daje.
14. Wziąwszy dobrodziejstwo, pomnij, dawszy, zapomnij.
15. Dobry chleb, gdy kołacza niema.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 29 Lipca (10 sierpnia) 1857 r.—Starszy cenzor, P. Sobieszczański.